


X



JAKUB ZAJĄC

Anna i Pan B.

 WIELKA LITERA

[fragment książki](#)

9.

Na wsi świat niezwykle inaczej niż w mieście. W mieście niezwykle pędem i zawsze do przodu. Niezwykłość miejska jest gwałtowna i zawłaszczająca, a człowiek – ofiara uniezwyklającego się miasta – wrzucony zostaje w wir uniezwykleń pospiesznych i niedokończonych, a potem budzi się zmięty, wyczerpany i brudny, jakby wyprany w zimnej wodzie.

Na wsi świat niezwykle inaczej. Robi to niespiesznie i w rytmie kołowym. Na wsi człowiek uniezwykla się, idąc albo siedząc, jedząc i patrząc na drzewo wznoszące się ponad czystym szumem strumienia.

Niezwykłość miasta jest pomarańczowa i ostra, niezwykłość wsi zadowala się pastelami. Niezwykłość miejska to przekleństwo.

Wiejska niezwykłość błogosławi człowiekowi.

*

Nieprzyjemny zapach, który towarzyszył mi od kilku dni, zniknął w chwili, w której Anna otworzyła drzwi samochodu i zaprosiła mnie do środka. Wraz z uśmiechem jej orzechowych oczu podeszły do mnie zapachy inne – tkliwe i pobudzające.

Anna przywiozła pod dworzec wilgoć migdałową, dopiero co oskubaną z łupiny, i nieco czerwonego

kardamonu, który rozbrzmiał w aucie niczym wykwintny kwartet smyczkowy.

Było w jej zapachu masło, które skojarzyło mi się z domem, i śmietana, której tłusta biel wzmogła popołudniową senność. Był kuszący lubczyk, który podkradł się do mnie i rozpylił jakąś leniwą odmianę erotyzmu.

Wsiadłem do auta oczarowany i onieśmielony, by już po kilku minutach stać się sennym i rozmarzonym.

Jechaliśmy przez Jelenią, a ja, który byłem tu po raz pierwszy, rozglądałem się po okolicy. Mijaliśmy stare, dość zaniedbane miasto. Opustoszałe i smutne.

Moją uwagę zwrócił nieczynny basen. Słońce lało się z nieba i roztopiało krajobraz, a mieszkańcy nie mogli skorzystać z najbardziej naturalnej ulgi i po prostu schłodzić się w miejskim zbiorniku. Wysokie krzesła, na których powinni byli siedzieć ratownicy, stały złożone i wsparte o metalową pakamerę, w której wyobraziłem sobie sprzedawcę lodów. Dzieci, zamiast biegać po żółtej trawie i wskakiwać do wody, siedziały na popękanych krawężnikach, obgryzały brudne paznokcie i przeklinały dyszkantem. Jełczały jak masło i głupiały z beczynności. Czas szarpał jeleniogórską rzeczywistość, która – rozkojarzona i niegotowa na spowolnienie – starała się przeczekać dni przejrzyste i spuchnięte od gorąca. Byle do zmierzchu, byle do wieczora, byle do pierwszego, chłodnego wiewu nocy.

– Muszę wstąpić do sklepu i kupić kilka rzeczy – powiedziała Anna – zatrzymamy się, dobrze? – spytała, a ja ocknąłem się z zamyślenia i przytaknąłem.

Kiedy robiła zakupy, wyszedłem z samochodu. Byłem nieświeży i zmęczony. Pomyślałem, że po przyjeździe do Pilchowic najchętniej umyłbym się i zdrzemnął. Wsiadłem z powrotem do auta i wyłączyłem radio, od którego trzasków już wcześniej rozboleła mnie głowa.

Siedziałem przez dłuższy czas w ciszy i próbowałem zadomowić się w nowym położeniu. Obawiałem się pierwszego wspólnego, niezręcznego popołudnia i wymuszonych rozmów, które przecież musiały nastąpić.

Co z tego, że w nagraniach Anna powiedziała mi o sobie tak dużo, skoro były to słowa rzucone na kilkusetkilometrową odległość, wirtualne, łatwe do skasowania, a ich podmiot – zwolniony z odpowiedzialności. Teraz byliśmy razem i tkwiliśmy obok siebie w tym samym, konkretnym świecie. I to tutaj należało ponownie nawiązać kontakt.

Anna wróciła, pchając przed sobą kosz z zakupami i rozmawiając przez telefon. Wyszedłem z auta, wziąłem od niej siatki i bez słowa włożyłem je do bagażnika. Ona wykonywała tylko gesty, pouczając mnie, jak otworzyć bagażnik i rozlokować zakupy. Nie przestawała przy tym rozprawiać o upale i o jakimś zbliżającym się wydarzeniu związanym ze wspólnym jedzeniem.

Podczas drogi wymienialiśmy skąpe uwagi dotyczące przebiegu mojej podróży oraz wspólnych planów na popołudnie i wieczór. Wyrzucane przez nas słowa poruszały się po

omacku, rozmijały się albo unikały. Zupełnie jakby nie potrafiły odnaleźć właściwych sobie torów albo wyczuć częstotliwości, na której dane im będzie dotrzeć do adresatów.

– Jeśli chcesz, możemy wybrać się na spacer.

– Nie chcę się narzucać.

Słowa, które wypowiadałem, podobne były do mojego zachowania – wystudiowane, sztuczne i niosły zbyt ogólne, prozaiczne znaczenia. Przecinały powietrze czarną, grubą czcionką, po czym uparcie trwały na zajętych pozycjach. Słowa Anny – uleglejsze i ostrożniejsze – wiły się wokół moich, drażniły je i zaczepiały, chcąc zmiękczyć moją powagę.

– Bardzo tu ładnie.

– Tak, bo prawie wszyscy stąd uciekli.

Udawaliśmy swobodę, wymuszaliśmy ją i stawiali pod ścianą. Mówiliśmy nie po to, by zbliżyć się do siebie, ale by utrzymać bezpieczny dystans. Każde zdanie stawało się nie sondą do wnętrza naszych światów, a ekranem dźwiękoszczelnym. Jednym z tych, które mijaliśmy, wjeżdżając do Doliny Bobru.

W pewnym momencie oboje zdecydowaliśmy się milczeć. Anna skupiła się na drodze, a ja utopiłem wzrok w krajobrazie za oknem. Zwróciłem uwagę na nieczynny wiadukt kolejowy, na fragment masywnego muru i na kilka opuszczonych domów, które należały niegdyś do bogatych Niemców.

Nie znoszę samochodów, mimo że ojciec skończył samochodówkę, doskonale znał się na autach i wielokrotnie towarzyszyłem mu w naprawach.

Po skończeniu studiów po raz pierwszy zdecydowałem się zrobić prawo jazdy, ale zarówno podczas ćwiczeń, jak i kolejnych egzaminów towarzyszył mi ogromny stres, którego nie potrafiłem opanować. Zdawałem siedem razy i za każdym razem oblewałem. A to na placu uderzyłem w słupek, a to nie spojrzałem w lusterko przy zmianie pasa ruchu, a to nie zatrzymałem się przed znakiem „Stop”. Nie wiem, czy paraliżowała mnie sytuacja egzaminowania, to, że ktoś patrzy mi na ręce, czy powód roztargnienia był inny, głębszy.

Mam kompleks z powodu nieposiadania prawa jazdy i czuję, że nie jestem w pełni mężczyzną. Każda z moich partnerek wcześniej czy później namawiała mnie, bym zdawał ponownie, i wielokrotnie dawała mi do zrozumienia, iż fakt, że nie mam prawa jazdy, to dla niej duży problem. Porzuciłem każdą kobietę, która chciała, bym prowadził samochód.

Podczas rozmów o konieczności posiadania prawa jazdy czułem się jak poborowy w wojskowej komendzie uzupełnień, który musi rozebrać się przed komisją i w całej swej niedoskonałości zaprezentować czworgu obcych ludzi, którzy zdecydują, czy jest reprezentatywny, zdatny czy niezdatny do militarnego użytku, a na sam koniec – wisienka na torcie upokorzenia – każą mu wejść za parawan, rozstawić nogi, pochylić się do przodu, dotknąć palcami zimnej podłogi i kaszlnąć, by zdiagnozować jego skłonność lub brak skłonności do sodomii.

Chciałbym w sobotnie wieczory wracać do domu z garażu, szorować nad umywalką ręce upaprane w smarze

albo wydłubywać spod paznokci opiłki żelaza, a w zaparowanym lustrze oglądać twarz szorstką i zmęczoną pracą fizyczną. Wymieniać opony z letnich na zimowe, rozmawiać o zapłonie, karburatorze, wale rozrządu, a w końcu o żonie jakiejś mojej, dzieciach jakichś moich, wakacjach w Chorwacji, grillu w ogrodzie, kredycie na mieszkanie i o niekończących się kłótniach z wścibskimi, konserwatywnymi teściami.

Zamiast tego piszę wiersze. Wklejam je w komiksowe dymki obok swojej smutnej twarzy i ten domorosły kolaż umieszczam na niepopularnych portalach internetowych. Potem siedzę z cienkim i niemęskim papierosem w ustach, odpowiadam na komentarze pod zdjęciem i liczę serca, znaki wirtualnej sympatii wysyłane przez osoby, które nie wiedzą, że nie mam prawa jazdy, że brakuje mi pewności siebie, że nie doświadczam satysfakcjonującego seksu i że nigdy nie będę prawdziwym mężczyzną z twarzą szorstką, zmęczoną, upapraną smarem.

– Kiedy jadę samochodem, lubię przyklejać twarz do szyby i patrzeć na linię oddzielającą jezdnię od pobocza – przerwałem kilkuminutową ciszę.

– Kiedy nie prowadzę, też tak robię – odpowiedziała Anna – wtedy wydaje mi się, że linia ściga się z całym światem.

– Chciałbym nią być – dodałem – trwać w miejscu i łudzić ich, że dokądś zmierzam.

Wjechaliśmy w szpaler zielonych lip. Przez dach utworzony z liści przeświecało popołudniowe słońce i raziło

nas w oczy. Była to jedna z tych chwil, które w mgnieniu oka urastają do rangi iluminacji, tak ulotnej jednak, że trudno ją spostrzec inaczej niż ukradkiem i poczuć się przez chwilę jak metafizyczny hochsztapler, jak złodziej czasu.

– Aleja zakochanych – powiedziała Anna.

Tuż za nią skręciliśmy w prawo i przejechaliśmy przez mały most nad Bobrem. Minęliśmy plac zabaw i sklep, na wysokości którego wjechaliśmy na zaniedbaną drogę. Kolejny, odrapane ściany, kraty w pustych oknach i wirujący w słońcu kurz.

Zatrzymaliśmy się przed bramą wjazdową na podwórze, przed którą rosło wysokie drzewo. W jego okolicy zgromadziło się kilka osób. Każda z nich miała ze sobą zmęczoną twarz i worek.

– Czekają na chleb – powiedziała Anna i pomachała kobiecie stojącej pod drzewem. Tamta odpowiedziała jej uniesieniem kącików warg. Siedzieliśmy w aucie, ponieważ Anna szukała pilota, którym mogłaby otworzyć bramę, a ja – unikając wzroku ludzi stojących pod drzewem – patrzyłem przez przednią szybę samochodu.

Za ogrodzeniem z zielonej siatki stał duży, prostokątny budynek. Był jasny, najpewniej kremowy, choć skąpany w cieniu wydawał się teraz ciemniejszy.

W jego krótszej frontowej ścianie były tylko dwa okna, podczas gdy na bocznej, ciągnącej się wzdłuż drogi, naliczyłem ich aż dwanaście – sześć na parterze, sześć na piętrze, wszystkie były zamknięte.

Do wnętrza budynku prowadził mały, zadaszony ganek, na który wchodziło się po kilku schodach. Znajdował się pomiędzy dwoma oknami, co sprawiało, że frontowa ściana wyglądała jak ludzka twarz. Dom był bardzo solidny i mógł pomieścić co najmniej kilka rodzin. Anna zapewne domyśliła się, że zrobił na mnie wrażenie.

– Wynajmuję mieszkanie na piętrze – powiedziała, nerwowo naciskając pilot do bramy – budynek należy do małżeństwa, które mieszka pode mną.

– Bardzo mi się podoba – dodałem.

Brama rozstała się i wjechaliśmy na podwórze. Po jego lewej stronie, naprzeciwko drzwi wejściowych do domu stała drewniana wiata, pod którą zmieściłyby się ze trzy auta.

Anna minęła ją, skręciła w prawo i zatrzymała się przed gankiem.

– Nie wolno ci tam parkować? – zapytałem, obracając się przez ramię, by ponownie rzucić okiem na wiatę.

– Boję się – odpowiedziała i zgasła silnik.

Chciałem zapytać, dlaczego, ale uprzedziła mnie. Spojrzała na mnie wymownie, a w jej oczach zobaczyłem ponaglenie. Wysiadłem więc, otworzyłem tylne drzwi samochodu, wyjąłem bagaże i położyłem je na schodach.

Kiedy wróciłem po zakupy, Anna rozmawiała z wysoką blondynką spod drzewa, która podeszła do nas, by się przywitać.

– To K., przyjechał do mnie z Krakowa – przedstawiła mnie Anna.

Nieco zmieszany podszedłem do nieznajomej.

– Mam na imię Maria. – Zaskoczyła mnie swoją energią.

Podala mi rękę i przedstawiła się jako ciocia Anny. Zdziwiło mnie to, bo obie kobiety wyglądały na równo-latki.

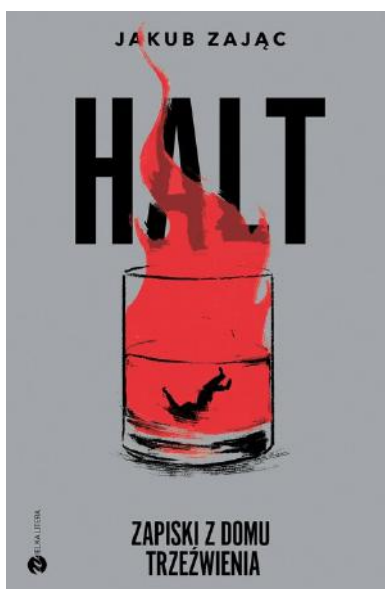
– Szczęściarz z ciebie – mówiła Maria – zamieszkas w największym i najpiękniejszym domu w samym sercu Pilchowic.

Uśmiechnęła się i spoglądając raz na mnie, raz na Annę, dodała:

– I to z najślawniejszą mieszkanką wioski.

*

Może zainteresować Cię również:



Sprawdź nasze [NOWOŚCI](#)
Zapraszamy na wielkalitera.pl

